

KORESPODENCJA *ALMANACHU MUSZYNY*

POCHODZENIE SŁOWA "SZANTRAPA" Zabawne uzupełnienie do tekstu "Język dawnej Muszyny", *Almanach Muszyny* 1999.

Znam legendę pochodzenia słowa "szantrapa". Wcale nie obstarę, że jest prawdziwa, ale ... zabawna.

W zamierzonych czasach cesarstwa w Rosji, na długo — długo przed rewolucją, do Sankt-Petersburga przyjechała francuska śpiewaczka i miała występować w operze. Nic jej się nie podobało — ani scena, ani scenografia, ani akustyka, ani koledzy aktorzy. Wszystko krytykowała, miotała się wściekła i powtarzała, że nie będzie śpiewać.

— Je ne chanterai pas! Je ne chanterai pas!

Przyszli, czy też niedoszli, partnerzy zagranicznej divy oraz personel — ci którzy nie znali francuskiego, a byli obrażeni i oburzeni — przewali francuską śpiewaczkę "szantrapa".

Katarzyna Witwicka
Warszawa

NA MAJERZU

W poprzednim roczniku *Almanachu* przeczytałem artykuł Witta Kmietowicza o muszyńskich domach, których już nie ma, m.in. o Majerzu. Ileż to budzi wspomnień!

Mieszkałem po sąsiedzku, w rodzinnym domu „Szwarcówka” (napisałem o nim w *Almanachu* 1998). Z daleka wabił stary, biały dworek — leśniczówka na wzgórzu, pod wiekowymi lipami. Często tam bywałem i stanowiło to nie lada atrakcję. Wchodziło się przez mroczną sień z wielkim kominem. Pełno tam było tajemniczych przedmiotów, trofeów i przyborów myśliwskich, toreb, lasek, wszelkiej odzieży. Wszystko spowijała specyficzna woń starzyzny i wilgoci, którą przesiąkły grube mury, a przybysza przenikał nastrój przeszłości.

W sąsiednich zabudowaniach mieściła się kręgielnia. Liczne grono znajomych z pasją toczyło kule i wiwatowało, gdy ktoś zrobił „króla”, czyli zbił wszystkie kręgle za jednym rzutem. Obok w stodole, a może w wozowni, urządzono strzelnicę; odbywałem tam pierwsze ćwiczenia, co pozwoliło mi później zdobyć odznakę strzelecką. Na podwórku, obok wielkiej studni z kołowrotem, grywało się w siatkówkę. We wszystkich tych rozrywkach przodował pełen werwy leśniczy Wojciech Borzemski, zwykle w zielonym kapeluszu z kitką, wraz z dwoma synami Witoldem i Tadeuszem, brała też udział rodzina Turskich, no i nasze grono ze „Szwarcówki”.

Nie obywało się bez poczęstunku. Pani leśniczyna wносиła przed ganek pajdy chrupiącego chleba i miskę miodu. Humory zawsze dopisywały i prześcigano się w dowcipkowaniu.

Wracając do domu mijalem starą stodołę i wielki spichlerz — nazywany „špich- rzem”. Był on celem zakazanych penetracji. Buszowałem w przestronnym wnętrzu, zapuszczając się na kilkupiętrowe kondygnacje, po spróchniałych belkach i deskach, aż po okienka w dziurawym, gontowym dachu. Pełno tam było szyszek, które, jak mówił leśniczy, gromadzono dawniej dla potrzeb szkółkarskich, gdy nie składowano już zboża. Obok rozciągał się trawnik, na którym ustawialiśmy bramki i graliśmy w piłkę nożną. Ponad spichlerzem, na stoku Mikowej, rozciągała się łąka. Zależnie od pory roku barwiła się wieloma rodzajami przepięknych, górskich kwiatów, mar- gerytek, smólek, ostrożni, storczyków, dzwonek; stanowiła też królestwo motyli, pasikoników i wszelkiego „robactwa”. Nad ranem i z wieczora można było ujrzeć płowe, lekliwe sarenki. Czasami szliśmy wzdłuż łąki, w górę. W leśnym zakątku znajdowało się źródło krystalicznej wody, wyjątkowo, jak na okolicę, nieminerальной, którą piło się do obiadu. Skoszona i pachnąca sianem łąka bywała też miejscem beztroskiego wypoczynku. Do dziś pamiętam ten aromatyczny zapach, a także płynące po rozświetlonym niebie obłoki i szeroki widok na daleką Jaworzynę, sąsiednią Basztę i białą, przysadzistą leśniczówkę na pierwszym planie.

Czas odmienił ten zaścianek. Nie ma już budowli: dworku - leśniczówki, stodoły, spichlerza. Część łąki zajął wielki, nowoczesny budynek wczasowy - obcy wtręt w urokliwy krajobraz muszyńskiego Zazamcza.

Adam Schwarz-Czarnowski
Warszawa

NA WĘGRY - ŚLADAMI ŚWIĘTEJ KINGI

Na początku lipca 1999 roku opiekowałam się jedną z grup Stowarzyszenia Czcieli św. Kingi z Nowego i Starego Sącza, udającą się do miejsca, gdzie urodziła się Pani Sądecka, czyli do pięknie położonego Esztergomu. Tam, nasza stu pięćdziesięcioosobowa pielgrzymka, w największej na Węgrzech bazylice i zarazem siedzibie prymasa tego kraju, złożyła tablicę dziękczynną przeznaczoną dla narodu węgierskiego, napisaną w języku polskim oraz węgierskim. Tablicę tę, w dniu 16 czerwca 1999 r., na błoniach starosądeckich poświęcił Ojciec Święty Jan Paweł II.

W ostatnim dniu pielgrzymki doświadczyliśmy równie wzruszających przeżyć, odwiedzając polski kościół w Budapeszcie, w dzielnicy Kobanya. Jest to kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, św. Kingi oraz św. Stanisława Kostki. Witają nas serdecznie proboszcz ks. Zbigniew Czerniak, który przybył tutaj z Rzeszowszczyzny. W uroczystości celebrowanej mszy św. uczestniczył wraz z nami ambasador RP w Budapeszcie oraz burmistrz Starego Sącza.

Polski kościół stanowił przed wojną i od 1989 roku znowu stanowi sanktuarium narodowe naszych rodaków, których los rzucił do Budapesztu. Powstał dzięki pracy i składkom robotników, pracujących w pobliskich kopalniach, do których uciekali oni z kraju „za chlebem”. Kronika kościoła odnotowuje wkład pracy kolejnych pokoleń rodzin, które tu zostały na zawsze. Dla nich był to sposób na wyrażenie tęsknoty za Ojczyzną. Nim powstał kościół, miejscem

spotkań religijnych była kaplica, istniejąca do dziś, zadbane, wyremontowana. Myśl o wybudowaniu kościoła dla już dużej grupy pracujących tu Polaków rzucił pierwszy duszpasterz, przysłany ze Lwowa ks. Wincenty Danek. Zawiązał się Komitet Budowy Kościoła, któremu udało się zdobyć pewną sumę, ale rozpoczętą budowę zniszczyła I wojna światowa. Po wojnie inicjatywa została podjęta i z pomocą składek Polonii amerykańskiej budowa ruszyła na nowo.

W roku 1929 powstało Stowarzyszenie Polaków na Węgrzech i Związek Robotników Polskich w Budapeszcie. Wokół kościoła utworzyła się kolonia polskich domków; do dzisiaj zachował się charakterystyczny układ wąskich „willowych” uliczek. Do nowo powstałego kościółka przybyły SS Elżbietanki, które opiekowały się kościołem i kolonią polską. Powstał także budynek Domu Polskiego, który podczas II wojny światowej był punktem kontaktowym dla osób uciekających przed Niemcami, a Siostry niejednokrotnie, z narażeniem życia, udzielały pomocy i kierowały uciekinierów dalej.

W 1933 roku pod Budapesztem miał miejsce Międzynarodowy Zlot Skautów, Jamboree, w których uczestniczyła grupa harcerzy polskich. Nawiązano wtedy przyjaźnie, które zaowocowały w latach II wojny, kiedy wielu Polaków szukało schronienia na węgierskiej ziemi. Jeden ze starszych uczestników pielgrzymki dojrzał w kościółku harcerską chorągiew i ze wzruszeniem dopytywał się o jej dzieje.

Pierwsze plany kościoła wykonał Adolf Szyszko Bohusz, profesor ASP w Krakowie, na prośbę Komitetu, który zawiązał się w początkach istnienia polonijnej parafii. Ostatecznie wybudowano kościół w stylu secesji, wg projektu znanego węgierskiego architekta Arkaya Aladara. Malowidła oraz witraże zaprojektował Polak Karol Malczyk oraz Węgier August Hondl. Tematyka obrazów, witraży, sztandarów i feretronów oraz dwujęzyczne napisy dokumentują polsko-węgierską przyjaźń w całej historii obu narodów.

Współżycie obu narodów w tej dzielnicy było zresztą zawsze pełne przyjaźni i wzajemnego wsparcia. Zawiązywały się polsko-węgierskie rodziny. I tak jest do dziś, choć nie obyło się bez problemów, kiedy to w roku 1950 zabrano kościół Polonii, a siostrze Elżbietankom Dom Polski. Od 1989 roku na nowo w kościele bije serce Polski, a odremontowaną świątynię prowadzą księża Zmartwychwstańcy. Na msze zjeżdżają tutaj Polacy — i nie tylko — z całego Budapesztu, organizowane są spotkania i polskie wystawy.

Zachęcam do odwiedzenia tego polskiego zakątka w Budapeszcie. Wystarczy przejechać most Petőfiego i pojechać na ul. Bpa Ohegy 11. Na pewno zabije tam serce mocniej każdemu Polakowi!

Anna Totoń
Nowy Sącz

POZDROWIENIA Z WIERCHOMLI

Urodziłem się i mieszkam w Wierchomli (klucz muszyński), a rodzinnymi korzeniami jestem związany mocno z samą Muszyną. Mój dziadek, Franciszek Olipra, dostał w 1910 roku w Muszynie posesję gajowego i strażnika łowieckiego w Dyrekcji Lwowskiej oraz u hrabiego Stadnickiego, gdzie pracował do 1928 roku. Bieda galicyjska w okresie zaborów spowodowała, że za sprzedany majątek koło Bochni ledwie zdołał kupić działkę budowlaną, tuż koło pana Witowskiego, z prawej strony, na ul. Zielonej. Tutaj, w Muszynie, spoczął mój pradziad, Józef Olipra, zmarły w 1915 roku, uczestnik wojny we Włoszech w armii gen. Giuseppe Garibaldiego. Tutaj też zdobywał szlify myśliwego i leśnika mój ojciec, Adam. Bardzo liczna rodzina dziadków (siedmiu synów, trzy córki) stała się przyczyną, dla której opuścili tę gościnną ziemię — w Muszynie nie było gimnazjum! A trzeba przyznać, patrząc dziś z perspektywy dziewięćdziesięciu lat, że mimo ciężkich czasów udało się dziadkom wykształcić wszystkie dzieci. W rodzinie był zatem profesor, trzech leśników, dwie nauczycielki, radca prawny, masarz oraz dwoje lekarzy dentystów. Jakież było wtedy poczucie odpowiedzialności za kształcenie dzieci!

Z opowiadań dziadka zapamiętałem, ileż to było sporów ze Słowakami o teren Zapopradu! (...) Utkwiły mi w pamięci także opowieści (już przez dziadka zasłyszane) o tym, jak Włosi budowali tunel pod Żegiestowem. Słuchałem o zbieraniu przez nich oraz przez mieszkańców tej ziemi złota w rejonie potoku Szczawnik i Zaszczawniczek, a także o mieszkających tu ludziach, posiadających moc wypędzania złych duchów z ludzi opętanych.

W Muszynie pozostał mój stryj, Jan Olipra, oraz Hanka Olipra, która w muszyńskiej szkole uczyła przez wiele lat. Mojego ojca powojenne losy rzuciły w 1945 roku do Wierchomli, ale do 1954 roku pracował w Nadleśnictwie Muszyna, gdzie zaprzyjaźnił się z panem Tadeuszem Petrowiczem i wieloma innymi wspaniałymi ludźmi (władza ludowa miała o nich nieco odmienne zdanie, stąd wycierpieli oni w swoim czasie sporo krzywd i upokorzeń). (...)

Od 1980 roku jestem myśliwym w muszyńskim Kole Łowieckim i spędzam sporo czasu w okolicznych kniejach, na polowaniach i w czasie pracy na rzecz Koła. Moi synowie nie raz przyjeżdżali na spotkania z panem Michałem Witowskim i słuchali jego pięknych opowiadań. Jeden z nich, Marek, jest również myśliwym w naszym Kole.

Krzysztof Olipra
Wierchomla